

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 3



Rosyjska polityka historyczna

– kłamstwo w służbie imperium

- Jak Związek Sowiecki zacierał ślady zbrodni i kneblował krytyków
- Kłamstwo katyńskie – kulisy antypolskiej operacji Nikołaja Burdenki
 - Stosunki polsko-rosyjskie w kremłowskiej propagandzie
- „Dekalog” rosyjskiej polityki historycznej. Co Putin mówi Rosjanom o ich dziejach?



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





FOT. MIHAEL METZEL/POOL

SPIS TREŚCI

3 PROF. MIKOŁAJ IWANOW
MACHINA SOWIECKICH KŁAMSTW
Prawdziwa historia jako nauka w Związku Sowieckim właściwie nie istniała. Rozmowa Piotra Włoczyka z prof. Mikołajem Iwanowem, historykiem z Uniwersytetu Opolskiego, autorem wielu prac na temat historii Związku Sowieckiego.

7 TOMASZ STAŃCZYK
**KATYŃSKIE
KŁAMSTWO MOSKWY**

Sowiecka wersja o wymordowaniu polskich oficerów przez Niemców była podbudowana fałszerstwami dokumentów.

10 MACIEJ PIECZYŃSKI
**DZIESIĘĆ WIEKÓW
RYWALIZACJI**
Polska od tysiąca lat była dla Rosji politycznym i religijnym wrogiem, rywalem, którego należało unicestwić. Była też jednak „oknem na świat”. Oto jak polityka historyczna Kremla

opowiada o dziejach polsko-rosyjskich do czasów pierwszej wojny światowej.

14 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŚWIĘTA WOJNA KREMLA
Oblężona twierdza, która od wieków broni się przed agresją Zachodu. A jednocześnie pogromca Hitlera, co samo w sobie zasługuje na aureolę świętości. Tak wygląda przeszłość Rosji z perspektywy kremlowskiej polityki historycznej.

PIOTR WŁOCZYK: Kiedy dla Związku Sowieckiego zaczęła się druga wojna światowa? Jak początek największego konfliktu w dziejach objaśniała obywatelom sowiecka propaganda?

PROF. MIKOŁAJ IWANOW: W świadomości większości ludzi sowieckich druga wojna światowa rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r. Prawie nikt nie kojarzy agresji Związku Sowieckiego na Polskę wspólnie z III Rzeszą jako udziału w drugiej wojnie światowej. 17 września 1939 r. rozpoczęła się według sowieckiej historiografii „wyzwolenieczy pochód”, mający uwolnić od „polskich panów” bratnie narody Ukraińców i Białorusinów. Ta linia wciąż jest oficjalną wykładnią Kremla. Trzeba jednak pamiętać, że istnieją dwie Rosje: Rosja Putina i Rosja Nawalnego. Są rosyjscy historycy, np. Nikita Pietrow, którzy mówią prawdę i starają się przeciwdziałać oficjalnej, w bardzo wielu fragmentach kompletnie zakłamanej wizji historii.

Nie dotyczy to oczywiście historiografii naukowej, historycy zarówno sowieccy, jak i rosyjscy podają tu prawdziwą datę 1 września 1939 r., ale to dotyczy tylko wojny na Zachodzie. ZSRS został do drugiej wojny światowej „wciągnięty” dopiero 22 czerwca 1941 r. Historiografia sowiecka i dzisiejsza rosyjska nadal twierdzą, że 17 września 1939 r. ZSRS nie przyłączył się do drugiej wojny światowej, tylko cały czas stał z boku.

Dlaczego doszło w takim razie do podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow?

W tym temacie właściwie nic się nie zmieniło. Nadal obowiązuje stara stalinowska koncepcja podpisania układu. Kreml utrzymuje tu od dziesięcioleci konsekwentną linię: Stalin chciał uniknąć wciągnięcia ZSRS do wojny przed czasem. Nie miał rzekomo innego wyjścia wobec niezdecydowania mocarstw zachodnich w sprawie wspólnego frontu przeciw Hitlerowi. To nie Związek Sowiecki zawarł sojusz z Hitlerem, tylko Wielka Brytania i Francja odmówiły współpracy z ZSRS. Zajęcie połowy Polski było więc niejako wymuszone na Stalinie, który w ten sposób chciał ocalić bratnie narody: Ukraińców i Białorusinów. Tym samym agresja stała się tak naprawdę obroną. I taki przekaz wciąż słychać z Kremla.

Z polskiej perspektywy na pewno bardzo bolesne jest to, że także sowiecka wizja powstania warszawskiego jest wciąż żywa w dzisiejszej polityce

Podpisanie traktatu o granicach i przyjaźni III Rzesza-ZSRS

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Z prof. Mikołajem Iwanowem, historykiem specjalizującym się w dziejach Związku Sowieckiego rozmawia Piotr Włoczyk

Machina

sowieckich kłamstw



Ofiara wielkiego głodu na Ukrainie, Charków, 1932 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA/DIOZESANARCHIV WIEN

■ historycznej Rosji. Mówią, że Armia Czerwona nie miała żadnych realnych możliwości pomocy powstaniu. Powiedzieć w dzisiejszej Rosji Putina, że w sierpniu / we wrześniu 1944 r. pakt Ribbentrop-Mołotow jakby odżył na dwa miesiące i Armia Czerwona pozwoliła Niemcom na wymordowanie 200 tys. Polaków, jest równoznaczne z próbą oczerniania Rosji...

Chyba najbardziej bolesna dla Polaków jest mimo wszystko sprawa Katynia. A tu Stalin zbudował całą maszynę propagandową.

Na szczęście dziś nie jest w tej kwestii tak źle, jak było za czasów komunizmu. Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby Gorbaczow nie przyznał się do tej zbrodni w imieniu ZSRS, a jego następcy nie byli w związku z tym zmuszeni do potwierdzania tego. Nie jestem pewien, czy dzisiejsza Rosja przyznałaby się do zbrodni katyńskiej.

Dzisiaj Rosja prowadzi niewątpliwie wojnę propagandową przeciwko Polsce i Zachodowi. Zbrodnia katyńska dokonana w czasie trwania drugiej wojny

światowej jest wyraźnym świadectwem zbrodniczego charakteru udziału ZSRS w tej wojnie. Jest ona znaczącym argumentem obalającym sowiecką i rosyjską koncepcję sprawiedliwego charakteru wielkiej wojny ojczyźnianej. Stalinowski Związek Sowiecki był takim samym agresorem jak III Rzesza, ponosi on współodpowiedzialność za wybuch tej wojny i za miliony ofiar tego konfliktu.

Do dziś w Rosji szeroko są rozpowszechniane stalinowskie fałszyfikacje na temat zbrodni katyńskiej. Przy stacjach metra w Moskwie cały czas sprzedawane są w wielkich nakładach bulwarowe książki historyczne.

Wśród autorów je piszących gwiazdą jest niejaki Jurij Muchin, który popełnił kilka książek tłumaczących stalinowską „prawdę o Katyniu”. Mam w domu co najmniej 10 takich książek i jest to szokująca lektura. Nie przestaje mnie zadziwiać, że ktoś może wciąż powtarzać najbardziej nawet absurdalne łgarstwa stalinowskich śledczych.

Jakby mało było tego, że w stalinowskim Związku Sowieckim było pod

dotądkiem fachowych, bardzo zdolnych fałszerzy historii, to jeszcze mogli oni liczyć na pożytecznych idiotów za granicą, którzy wspomagali ich propagandę historyczną. Jednym z wielu takich ludzi był Alexander Werth, autor książki „Rosja na wojnie. 1941–45”. Rozdziały, w których pisał o Katyniu i o powstaniu warszawskim, nie powielały może zupełnie wprost sowieckiej propagandy, ale niewiele się od niej różniły. Werth był czołowym „historycznym idiotą”, ale takich ludzi sowiecka Rosja miała na Zachodzie na pęczki.

Kłamstwa Stalina wymierzone były nie tylko we wrogów, np. Polaków. Związek Sowiecki kłamał też choćby na temat prawdziwej liczby własnych strat ludzkich w czasie drugiej wojny światowej. Tuż po wojnie Stalin przekonywał, że ZSRS stracił zaledwie 7 mln ludzi...

To również jest częścią propagandy historycznej w czystej postaci. Jednak trudno się dziwić niechęci Stalina do podania prawdziwych informacji na ten temat. Przed wojną z Niemcami w ZSRS wszem wobec trąbiono o po-

zędze militarnej tego kraju. Jak można było nie zwyciężyć szybko z Hitlerem, mając osiem razy więcej czołgów, dziesięć razy więcej samolotów i dwa razy więcej żołnierzy? Mówiąc wprost, Stalin krępował się przed własnym narodem i przed światem, więc musiał fałszować historię.

Dlaczego więc ta liczba była stopniowo oficjalnie powiększana, aż osiągnęła niewyobrażalną wręcz wielkość? Dlaczego Kreml nie wybrał najprostszej w tym przypadku drogi, czyli trzymania się pierwszej wersji?

Był to element procesu destalinizacji. Przemówienie Chruszczowa na XX zjeździe było dla wszystkich szokiem. Chruszczow budował swój autorytet na zaprzeczaniu polityce Stalina. To za jego czasów pojawiła się liczba 20 mln sowieckich ofiar drugiej wojny światowej. W latach 80. powiększono tę liczbę o 7 mln. Bardzo poważny, rzetelny rosyjski historyk Mark Sołonin przekonuje, że te 27 mln to prawdziwa liczba zabitych obywateli sowieckich. To liczba trudna do wyobrażenia, ale jeżeli porównamy ją do strat Polski, to perspektywa jest już diametralnie inna. W ZSRS zabity został co dziewiąty obywatel, a w Polsce co szósty...

Jedną z największych zbrodni komunizmu w całych dziejach tej ideologii jest wielki głód na Ukrainie, który według różnych szacunków pochłonął od 6 do nawet 10 mln ofiar. Kiedy ten temat po raz pierwszy pojawił się w oficjalnej debacie?

Już w czasach odwilży Chruszczowa zaczęto o tym wspominać. Pisał o tym trochę Aleksander Sołżenicyn. Wraz z początkiem pierestrojki, kiedy można już było mówić o wszystkim, również „wybuchł” temat głodu na Ukrainie. Jeżeli na 40 mln Ukraińców głód dotknął 30 mln, to tego nie dało się ukryć, choć istniał oczywiście zakaz poruszania tego tematu. Zbrodnia ta była tajemnicą poliszynela, ludzie doskonale o niej wiedzieli. Temat głodu towarzyszył stale społeczeństwu sowieckiemu od rewolucji październikowej.

Czy można w ogóle mówić w kontekście Związku Sowieckiego o historii jako nauce?

Prawdziwa historia jako nauka właściwie nie istniała w ZSRS. Badania historyczne, poczynając od starożytności, były jedną wielką propagandą budowaną jako potencjalne narzędzie indoktrynacji dla władz komunistycznych. Ludziom,

którzy nigdy nie żyli w Związku Sowieckim, trudno wyobrazić sobie, jak bardzo historia może być zakłamana. Wszystko sprowadzało się do teorii walki klasowej. Dlatego nic dziwnego, że Spartakus był pupilkim sowieckich historyków. Powstała na jego temat masa książek, wierszy...

... a każdy kibic sportowy zna różne spartakusy rozsiane po całej Rosji.

Tak, kluby im. Spartakusa były wszędzie. Kiedy po rewolucji zapadła decyzja, by zlikwidować imiona chrześcijańskie, przed każdym urzędem stanu cywilnego wywieziono listę nowych imion, które partia i rząd rekomendują. Spartakus był na pierwszym miejscu, stał się w ten sposób prawdziwą ikoną. Po dziś dzień w Rosji, na Ukrainie i Białorusi wśród starszych ludzi jest bardzo wielu Spartakusów. Popularne były też jednak Elektryny i Wiły (skrót od Władimir Iljicz Lenin).

Jaka była wizja starożytności według historyków realizujących wytyczne Kremla?

Jeżeli chodzi o starożytność, to kluczowa była Grecja. W ZSRS tłumaczono, że najlepsze elementy cywilizacji greckiej przejęło Bizancjum, a stamtąd ten trzon zawędrował prosto do Moskwy. Dzięki temu Rosja nie była państwem, które znajdowało się – jak wskazywałyby na to geografia – gdzieś na rubieżach znanego wówczas świata, ale była centrum cywilizacji! Mowa oczywiście o unikalnej cywilizacji rosyjskiej. Rosyjska cywilizacja wywodziła się z Grecji, a zachodnia z Rzymu – tak w czasach komunizmu przedstawiano korzenie tego wielkiego geopolitycznego konfliktu.

Komunizm miał być uniwersalistyczny, ale czerwona Moskwa nawiązywała do dawnej kultury i tradycji. Za Lenina było to nie do pomyślenia, ale już za Stalina jak najbardziej.

Lenin był przede wszystkim internacjonalistą. Za Lenina i przez ok. 10 lat po jego śmierci, dopóty, dopóki Stalin nie przejął pełni władzy, uważano, że komunizm w jednym kraju nie ma prawa zwyciężyć. Budowanie go w jednym tylko państwie było postrzegane jako coś, co nie dawało szans na przyszłość – imperialiści, kapitaliści okrążyliby go szczerze i zadusili. Lenin twierdził, że trzeba wyjść z rewolucją na zewnątrz, nawet napisał pracę o Stanach Zjednoczonych Europy.



Michaił Pokrowski FOT. DOMENA PUBLICZNA

Stalin natomiast nie był już internacjonalistą w sensie ścisłym. Stwierdził, że skoro eksport rewolucji jest tak trudny, to trzeba się skupić na własnym państwie. Na godle ZSRS, aż do upadku komunizmu, widniało dumne hasło: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Do połowy lat 30. miało to jeszcze jakieś znaczenie,

ale później było to już kompletnie puste hasło. Stalin postawił na nacjonalizm, co faktycznie jest totalnie sprzeczne z komunistyczną ortodoksją. Zaczął budować bardzo pokreconą opowieść o historii Rosji.

W czasie drugiej wojny światowej Stalin-Gruzin stał się największym rosyjskim nacjonalistą. Historia była dla niego narzędziem prowadzenia polityki. Wygłoszony przez niego słynny toast brzmiał: „Wypijmy za najlepszy naród w Związku Sowieckim. Za naród rosyjski, który na swoich plecach uniósł cały ciężar drugiej wojny światowej”. Stalin doszedł do wniosku, że trzeba uprzywilejować Rosjan. Jeżeli za Lenina w rządzie było wielu Żydów, przedstawiciele innych mniejszości narodowych, w tym wielu Polaków, to za Stalina było to nie do pomyślenia. Rosjanie stanowili trzon władz.

Jak wyglądało w praktyce to przejście od totalnego potępiania caratu do dostrzegania w nim dobrych stron?



Rosyjscy komuniści składają kwiaty przy grobie Stalina, Moskwa, 2009 r.

FOT. RIA NOVOSTI ARCHIVE, IMAGE #535278 / VLADIMIR FEDORENKO / CC-BY-SA 3.0

■ W Związku Sowieckim pierwszym partyjnym historykiem, który zwalczał tradycyjną rosyjską szkołę historyczną, był Michaił Pokrowski. On pierwszy powiedział, że historia to propaganda, tyle że działająca wstecz. To bardzo znana wypowiedź. Pokrowski opowiadał o Rosji carskiej jako o więzieniu narodów. W sowieckiej polityce historycznej było to pierwsze „przykazanie” – w każdym podręczniku było to wyraźnie wybite. Kiedy jednak Stalin zaczął iść w kierunku rosyjskiego nacjonalizmu, Pokrowski stał się wrogiem ludu... To był szok. Na szczęście dla niego samego zmarł w 1932 r., na początku tej nacjonalistycznej drogi. Nie można go więc było powiesić ani rozstrzelać. Niedługo później Stalin na dobre okrzepł u władzy i zaczął robić swoje „porządki”. A wtedy wszyscy ci, którzy byli uczniami Pokrowskiego, trafili do więzień i w efekcie stracili życie.

W jaki sposób nowa stalinowska szkoła historyczna opowiadała o czasach przedrewolucyjnych?

Rosja carska przyniosła na tereny podbite wyższą kulturę, edukowała narody. Gdyby nie Rosja, to nie wiadomo, co by

się z tymi narodami stało. Gdyby Kaukaz przypadł Turkom, a narody Azji Środkowej stały się koloniami brytyjskimi, spotkałaby je kulturowa zagłada – tak stanowiła nowa wykładnia historyczna. Stalin sam opowiadał, że naród rosyjski cywilizuje inne narody. Carat był oczywiście przedstawiany jako instytucja generalnie zła, ale niektórzy carowie byli pokazywani przez sowieckiego dyktatora jako dobrzy władcy, którzy pozytywnie przysłużyli się rosyjskiemu ludowi. Jednym z nich był m.in. Piotr I, który ucywilizował kraj i zaczął go rozwijać. Carya Katarzyna II również była uważana przez Stalina za mądrą władczynię, która rozwijała kulturę i naukę (założyła w Rosji Akademię Nauk). Stalinowscy historycy tłumaczyli, że gdyby Białorusini i Ukraińcy zostali pod polskim panowaniem, to zupełnie zatraciliby swoją tożsamość. A tak bracia Rosjanie ich uratowali.

Wspomniał pan, że pierestrojka była pod tym względem szokiem – nagle można było mówić prawdę nawet o najgorszych zbrodniach. Ciężko sobie nawet wyobrazić, jak wiele pracy trzeba było włożyć, żeby uratować historię jako naukę po tylu latach komunistycznych porządków.

Gorbaczow zaczynał pierestrojkę, mając nadzieję, że system uda się uratować, jeżeli pozwoli się po prostu na otwartość, która będzie dla społeczeństwa rodzajem wentyla. Gorbaczow prawdopodobnie chciał przeprowadzić wariant chiński. Okazało się jednak, że ZSRS to kompletnie inny kraj, zamieszkiwany przez 150 narodowości. I ta olbrzymia różnorodność go rozbiła od środka. Mimo wielkich nadziei i trwającego ponad dekadę okna, gdy można było bez większych przeszkód pisać prawdę na temat historii, sytuacja wróciła do „normy”. Czy Rosja jest czerwona, czy prawosławna, tak jak dzisiaj, traktuje historię skrajnie instrumentalnie, jako jedno z narzędzi władzy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Mikołaj Iwanow – jest historykiem z Uniwersytetu Opolskiego, autorem wielu prac na temat historii Związku Sowieckiego. Jego najbardziej znaną książką jest „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. »Operacja polska« 1937–1938”.



Tomasz Stańczyk

Sowiecka wersja o wymordowaniu polskich oficerów przez Niemców była podbudowana fałszerstwami dokumentów

Katyńskie kłamstwo Moskwy



Polsko-sowiecki układ z 30 lipca 1941 r. przewidywał „amnestię” dla polskich obywateli więzionych w Związku Sowieckim i stworzenie w tym kraju polskiej armii. Do ośrodka formowania armii przybywali niedawni więźniowie, łagiernicy i zesłańcy. Generał Władysław Anders, dowódca armii, szybko się zorientował, że wśród nich jest zaskakująco mało oficerów. Gdzie są więc pozostali? Pytania kierowane przez niego, a także przez ambasadę RP, do władz sowieckich na wszystkich szczeblach spotykały się początkowo z uspokajającym wyjaśnieniem, że z pewnością wszyscy się odnajdą. Był to początek kłamstwa katyńskiego.

W grudniu 1941 r. do Moskwy przyleciał na rozmowy ze Stalinem gen. Władysław Sikorski.

W spotkaniu brał także udział gen. Anders. Polski premier miał wówczas w rękę niekompletną, zestawioną z pamięci tych, którzy byli w trzech obozach, listę ok. 4 tys. oficerów. Powiedział Stalinowi, że nie ma ich ani w kraju, ani w niemieckich oflagach. „Ci ludzie znajdują się tutaj. Nikt z nich nie wrócił” – oświadczył Sikorski.

„To niemożliwe – powiedział Stalin – Oni uciekli”. „Dokądże mogli uciec?” – spytał Anders. „No, do Mandżurii” – usłyszał. Zabrzmiało to absurdalnie. Gdy Anders powiedział, że są pogłoski o oficerach na Kołymie i Nowej Ziemi, Stalin stwierdził, że na pewno ich zwolniono, tylko jeszcze nie przybyli.

„W miarę, jak czas upływał – wspominał Anders – a nikt z zaginionych się nie odnalazł, początkowe zdziwienie zaczęło się zamieniać w niepokój [...]. Władze sowieckie nie udzieliły żadnej konkretnej odpowiedzi”.

Dlatego generał zaczął poszukiwania oficerów na własną rękę. Wyznaczył do tego zadania Józefa Czapskiego. Był jednym z zaledwie 79 oficerów z obozu w Starobielsku, którzy się odnaleźli. Czapski sądził, że pozostali oficerowie, także z obozów w Kozielsku i Ostaszkowie, są gdzieś w łagrach. Udał się więc do naczelnika GUŁagu, który oświadczył, że w podległych mu obozach nie ma polskich oficerów. Wizyta u gen. Leonida Rajchmana w centrali NKWD też nic nie dała. NKWD-zista powiedział, że polscy oficerowie to nie jego dział. Kłamał. „Ja wiem – wspominał Czapski – że gen. Rajchman od dawna prowadził dział polski na Łubiance i że nie może nie wiedzieć, co się stało z 15 tysiącami jeńców wojennych”. Po kilku dniach Rajchman

FOT. DONENIA PUBLICZNA



Pomnik katyński w Warszawie

FOT. WIKIPEDIA/ALINA ZIENOWICZ

dzadzwonił do Czapskiego. Powiedział, że materiały dotyczące jeńców zostały wysłane do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych i tam trzeba pytać o oficerów. „Odpowiadam generałowi – relacjonował Czapski – że nasz ambasador zwracał się do tych panów w tej sprawie już nie raz, a osiem razy”.

Bez odpowiedzi pozostawały interwencje ministra spraw zagranicznych Edwarda Raczyńskiego, ambasadorów Stanisława Kota i Tadeusza Romera.

Dopiero kiedy niemieckie radio podało 12 kwietnia 1943 r. informację o odkryciu w Lesie Katyńskim ciał rozstrzelanych oficerów, Moskwa wydała komunikat o tym, co się stało z polskimi jeńcami, choć prawie przez dwa lata odmawiała odpowiedzi. Oficerowie znajdowali się na robotach budowlanych, nie zdążono ich ewakuować na początku wojny z Niemcami i zginęli z ręki „katów faszystowskich”, gdy latem 1941 r. Armia Czerwona wycofała się z rejonu Smoleńska.

Stwierdzenie, że zostali zamordowani przez NKWD, Moskwa kwitowała słowami: „Niemieckie zbiry faszystowskie nie cofają się w tej swojej nowej potwornej bredni przed najbardziej łajdackim i podłym kłamstwem, za pomocą którego usiłują ukryć niesłychane zbrodnie, popełnione, jak to teraz widać jasno, przez nich samych”.

„POMOC HITLEROWSKIM PROWOKATOROM”

17 kwietnia 1943 r. polski rząd na uchodźstwie poinformował, że zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego

Krzyża o wysłanie misji do Katynia, by zbadała na miejscu stan rzeczy, a oznaczać to będzie „wyświetlenie sprawy i ustalenie odpowiedzialności”. Było to pierwsze oświadczenie polskich władz w sprawie zaginionych oficerów. Dotąd światowa opinia nie wiedziała nic o bezskutecznych próbach dowiedzenia się w Moskwie o losie Polaków.

Jan Karski, słynny emisariusz i historyk, uznał to długie milczenie polskiego rządu za ciężki błąd. Światowa opinia uznała, że polski rząd padł ofiarą niemieckiej propagandy. Moskwa natomiast stwierdziła, że zwrócenie się przez polski rząd do MCK o wyjaśnienie zbrodni w Katyniu to „bezpośrednia i jawna pomoc hitlerowskim prowokatorom”. Stalin twierdził w depešach do Churchilla i Roosevelta, że między rządem gen. Sikorskiego a Hitlerem istnieje „kontakt i zмова w prowadzeniu tej wrogiej kampanii”.

Sowiecki dyktator uznał, że jest to znakomity moment, by zerwać stosunki dyplomatyczne z polskim rządem. Churchill – który z pewnością nie miał złudzeń, kto był sprawcą masakry katyńskiej – próbował odwieść Stalina od tej decyzji, argumentując, że skorzystają na tym Niemcy. „Propaganda niemiecka wymyśliła tę historię dokładnie po to, by spowodować wyłom w szeregach Narodów Zjednoczonych” – argumentował brytyjski premier. Sowiecki dyktator był nieugięty. Miał już w zanadru polskich komunistów, którym chciał powierzyć rządy w Polsce.

KOMISJA BURDENKI

Słowa o niemieckiej zbrodni w Katyniu Kreml postanowił wzmocnić „dowodami”. Gdy Sowieci zajęli tereny wokół Smoleńska, urządzono propagandowy spektakl. Najpierw postarano się o „świadków”. Zajmowała się tym komisja, której przewodniczył Wsiewołod Mierkułow, szef Ludowego Komisariatu Bezpieczeństwa Państwowego, jeden z głównych odpowiedzialnych za zbrodnię katyńską, w 1940 r. zastępca Berii.

„O żadnych rozstrzelaniach w tym czasie [do czerwca 1941 r. – przyp. red.] nie słyszeliśmy” – „zeznawała” Polka o nazwisku Czeksnis. I nie była jedyna. Przesłuchiowano wielu „grzybiarzy”, którzy

rzekomo chodzili po Lesie Katyńskim, zanim pojawili się tam Niemcy. Co się stało z polskimi oficerami? Kobiety pracujące w willi zajętej przez niemieckich żołnierzy „zauważyły” ruch krytych ciężarówek, Niemców idących z bronią do lasu. Gdy wracali, „sposzrzegli” krew na mundurach niektórych z nich. „Z wszystkiego tego wysnułam wnioski, że Niemcy przywożą na dacie ludzi i ich rozstrzelali”.

Profesor Bazylewski, mianowany przez Niemców zastępcą burmistrza Smoleńska, „zeznawał”, że rozmawiał z burmistrzem Mienszaginem o tym, co się stało z polskimi jeńcami. Mienszagin odpowiedział „z ociąganiem i żądając zachowania tajemnicy: Z nimi już skończono. Von Schwetz [wojskowy komendant miasta – przyp. red.] powiedział mi, że wszyscy zostali rozstrzelani, gdzieś tam niedaleko Smoleńska”.

W styczniu 1944 r. sowieckie biuro polityczne powołało komisję specjalną pod przewodnictwem prof. Nikołaja Burdenki. Komisja dokonała m.in. „odkrycia” przy jednych zwłokach modlitewnika z notatką datowaną na 4 kwietnia 1941 r., przy innych niewysłaną kartkę pocztową

datowaną na 20 czerwca 1941 r., list wysłany z Warszawy w grudniu 1940 r. i kilka innych dokumentów z datami późniejszymi niż kwiecień 1940 r. Sowieci zadbali o ściągnięcie do Katynia dziennikarzy z krajów alianckich, którym przedstawiono „świadków” niemieckiej zbrodni i umożliwiono rozmowy z „ekspertami” z komisji Burdenki. Pokazywano im kartkę pocztową z dnia 12 czerwca 1941 r. pisaną



Nikołaj Burdenko

FOT. DOMENA PUBLICZNA

przez polskiego oficera, spreparowano nawet „wzruszający list” Stanisława Kuczyńskiego do żony w Warszawie, oczywiście z 1941 r. Wskazywano, że nie udało się „niemieckim prowokatorom” usunąć rzekomego dowodu hitlerowskiej zbrodni – fuska od niemieckich nabożów. Raport komisji Burdenki, zawierający także zeznania „świadków”, został opublikowany w wielu językach i był podstawowym orężem sowieckiej propagandy w kwestii zbrodni katyńskiej.

Kłamstwo katyńskie usiłowali Sowieci „zalegalizować” podczas procesu norymberskiego. Oskarżyli o dokonanie zbrodni sztab niemieckiego 537. Batalionu Robo-

czego dowodzonego przez płk. Arnesa. Przedstawili też świadka, bułgarskiego prof. Marko Markowa, który był jednym z ekspertów badających w 1943 r. groby katyńskie po ich odkryciu przez Niemców. Sterroryzowany profesor zeznał, że zwłoki nie leżały w ziemi przez trzy lata – co wskazywałoby na rok 1940 jako czas popełnienia zbrodni – lecz rok, półtora.

Przed trybunałem w Norymberdze – co było niemiłym zaskoczeniem dla sowieckich prokuratorów – stanął płk Friedrich Ahrens (nie Arnes), jak podawali Sowietci. Rzeczywiście niemiecka jednostka, 537, Pułk Łączności (a nie batalion roboczy), stacjonowała w lesie katyńskim, oficerowie mieszkali w dawnej willi NKWD, lecz Ahrens objął dowództwo w listopadzie 1941 r., a więc dwa miesiące po dacie zbrodni, jaką przyjmowali sowieccy prokuratorzy (koniec sierpnia, początek września). Nie mieli lub nie próbowali przedstawiać „dowodów”, że niemieccy żołnierze pod dowództwem poprzednika Ahrensa rozstrzelali polskich oficerów.

W wyroku ogłoszonym przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Norymberdze oskarżenie Niemców o zbrodnię przeciwko polskim oficerom zostało całkowicie pominięte. Logiczna konkluzja brzmiała: skoro polskich oficerów nie zamordowali Niemcy, to zrobili to Sowietci. Jednak – jak pisał Adam Basak, autor książki „Historia pewnej mistyfikacji. Zbrodnia katyńska przed Trybunałem Norymberskim” – trybunał ten przede wszystkim z przyczyn formalnoprawnych nie mógł wypowiadać się ani pośrednio, ani bezpośrednio o winie Rosjan.

CHATYŃ ZAMIAST KATYNIA

Moskwa nie była w stanie doprowadzić do zakazu mówienia o Katyniu w wolnym świecie, uciekała się więc do akcji dezinformacyjnej. Na terenie sowieckiej Białorusi znajdowała się wioska Chatyń. W 1943 r. oddział SS dowodzony przez Oskara Dirlewangera (późniejszego kata ludności Woli podczas powstania warszawskiego) wraz z batalionem policyjnym złożonym z kolaborantów-obywateli sowieckich, w odwecie za śmierć niemieckiego oficera zabitego przez komunistycznych partyzantów, dokonał zbrodni we wsi Chatyń, w której ci partyzanci się zatrzymywali. 149 mieszkańców, kobiety i dzieci także, zapędzono do stodoły, którą podpalamo.

W 1969 r. powstał w Chatyniu „memo-riał” – pomnik ku czci ofiar zbrodni niemieckiej. Chatyń, Katyń – te nazwy brzmią



Nieśmiertelnik i pamiątkowy medalik chrzcielny odnalezione w katyńskiej mogile. FOT. BUNDESARCHIV, BILD 183-B23992 / CC-BY-SA 3.0

bardzo podobnie, po angielsku pisane są jako Khatyn i Katyn. Do Chatynia zapraszano delegacje zagraniczne. Składali tam kwiaty prezydent Richard Nixon i przewodniczący ONZ Javier Pérez de Cuéllar. Na Zachodzie natomiast sowiecka dyplomacja doprowadziła w latach 70. minionego wieku do tego, że pomnik katyński nie stanął na jednej z ulic Londynu, lecz na cmentarzu, na przedmieściach.

W POLSCE LUDOWEJ

Gdy w 1951 r. zaczęła pracować komisja Kongresu Stanów Zjednoczonych do spraw zbadania zbrodni, w Polsce ukazała się książeczka Bolesława Wójcickiego, „Prawda o Katyniu”, zawierająca same kłamstwa. Po XX Zjeździe KPZR, który oznaczał koniec stalinizmu, Nikita Chruszczow miał zaproponować Władysławowi Gomułce ujawnienie prawdy o zbrodni katyńskiej. Pierwszy sekretarz KC PZPR rzekomo odmówił w obawie przed wznieceniem antysowieckich nastrojów. Historycy jednak bardzo wątpią, by taka propozycja wyszła od sowieckiego przywódcy. Gomułka był publicznie pytany w przełomowym dla Polski roku 1956 o Katyń. „Udzielał zawsze takich samych odpowiedzi: sprawę badali Niemcy i znaleźli przekonywujące dowody winy Związku Radzieckiego, potem badał ZSRR i znalazł przekonywujące dowody winy Niemców. I jest jeszcze stanowisko: racja stanu Polski, która wymaga, żeby na ten temat milczeć” – pisał Stanisław

Jaczyński w artykule „Zbrodnia katyńska w świetle propagandy politycznej Polski Ludowej”. Gomułka mówił też, że nie może się wypowiadać o kwestii winy, gdyż w żadnej z komisji badających na miejscu mord katyński nie brali udziału Polacy.

Sprawa zbrodni katyńskiej została skazana na przemilczenie, a czuwała nad tym cenzura. Za negowanie kłamstwa katyńskiego i mówienie o prawdziwych sprawcach zbrodni można było, szczególnie przed 1956 r., trafić do więzienia.

Oficjalna wersja o niemieckiej odpowiedzialności za wymordowanie oficerów obowiązywała przez wszystkie lata komunistycznej Polski. Gdy latem 1981 r. z inicjatywy społecznej stanął na Powązkach Wojskowych kamienny krzyż z datą 1940 r. i nazwami obozów, został po paru godzinach, w nocy, usunięty przez „nieznanych sprawców”. Na początku grudnia 1981 r. członkowie obywatelskiego komitetu podpisali akt erekcyjny pomnika katyńskiego, lecz wprowadzony kilka dni później stan wojenny przekreślił możliwość jego realizacji. Natomiast w 1985 r. stanął na Powązkach Wojskowych pomnik upamiętniający oficerów z Katynia jako ofiary niemieckiego faszyzmu. Dopiero w kwietniu 1990 r. Moskwa przyznała, że mord był dziełem NKWD, ale – co charakterystyczne – spośród osób bezpośrednio odpowiedzialnych za zbrodnię wykluczała Stalina. Padły tylko dwa nazwiska: Berii i Mierkułowa.

Obrona ławy Troicko-Siergiejewskiej przed Polakami (1610 r.). Obraz Siergieja Miłoradowicza FOT. WIKIPEDIA

Dziesięć wieków rywalizacji



Maciej Pieczyński

Polska od tysiąca lat była dla Rosji politycznym i religijnym wrogiem, rywalem, którego należało unicestwić. Była też jednak „oknem na świat”. Oto jak polityka historyczna Kremla opowiada o dziejach polsko-rosyjskich do pierwszej wojny światowej

Wszystko zaczęło się od sporu granicznego. „Poszedł Włodzimierz ku Lachom i zajął grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody, które do dziś dnia są pod Rusią” – to wydarzenie pod rokiem 981 odnotował Nestor, mnich monasteru pieczerskiego, na kartach „Powieści lat minionych”, najważniejszego latopisu (kroniki) w dziejach Rusi Kijowskiej. Zapis pochodzi z początku XII w. Wychodzi

więc na to, że pierwszym aktem w dziejach relacji polsko-rosyjskich był konflikt Gniezna z Kijowem o Przemyśl.

Książę Włodzimierz, który zajął Grody Czerwieńskie, znaczy dla Rosjan, Ukraińców i Białorusinów tyle, co dla nas Mieszko I. Te trzy narody wyrosły z jednego korzenia Rusi Kijowskiej. Przyjęta oficjalnie przez Włodzimierza, 12 lat po chrzcie Polski, prawosławna wiara jest do dziś mocnym kulturowym spoiwem łączącym wschodnich Słowian. Wykorzystywanym przez najsilniejszy z tych narodów do prób dominacji nad pozostałymi. Nieprzypadkowo rok po aneksji Krymu Władimir Putin postawił w centrum Moskwy pomnik swojemu wielkiemu imiennikowi. Kijów to „macierz grodów ruskich”. Bez Ukrainy Rosja nie może być regionalnym, wschodniosłowiańskim mocarstwem. Bez nawiązania do Włodzimierzowego chrztu (przyjętego zresztą, według jednej z legend, na Krymie) Moskwa nie może być „Trzecim Rzymem”, „katechonem”, centrum moralnego odrodzenia w prawosławiu. Dlatego rosyjska polityka historyczna dąży do uzasadnienia prób uzależnienia Ukrainy

od Kremla, dowodząc na podstawie historii, że przecież Ukraińcy i Rosjanie to jeden naród, a ich „braterstwo” przypieczętowała ugoda perejaśławska Chmielnickiego z carem Aleksym.

Relacje piastowskiej Polski z Rusią Kijowską miały inny wyraz i inny charakter niż późniejsza geopolityczna wojna na śmierć i życie między Rzeczpospolitą a Moskwą czy Petersburgiem. Wczesne średniowiecze nie знаło jeszcze temperatury ideologicznych religijnych konfliktów wieków późniejszych. Pomimo wielkiej schizmy, przypadającej akurat na pierwsze dziesięciolecia obu państw, ostrość sporu między zachodnim a wschodnim chrześcijaństwem nie wpływała jeszcze tak mocno na wzajemne stosunki. Jak to w średniowieczu konflikty zbrojne między sąsiadami przeplatały się z, brzemieniami w polityczne skutki, dynastycznymi koligacjami.

Już wówczas wyraźne były, tak odmienne w obu przypadkach, konsekwencje wyborów cywilizacyjnych dokonanych przez Mieszka i przez Włodzimierza. Przyjęcie chrztu w obrządku łacińskim oznaczało nie tylko wejście do

świata Zachodu, lecz także wyrzeczenie się do pewnego stopnia słowiańskiej tożsamości. Język liturgii był językiem kultury. Nic zatem dziwnego, że dopiero w XVI w. okazało się, „iż Polacy nie gęsi”. Ruś była w tej uprzywilejowanej sytuacji, że językiem liturgicznym wiary, którą przyjęto, nie była dominująca w samym Bizancjum greka, ale język starocerkiewno-słowiański, oparty na jednym z dialektów bułgarsko-macedońskich. Język zrozumiały dla Słowian, dość podobny do staroruskiego, z którym zresztą dość szybko zaczął się mieszać pod piórem pierwszych kijowskich pisarzy. Tym samym Ruś zyskała, w porównaniu z Polską, kulturową samodzielność. Fakt ten jest w rosyjskiej narracji na temat przeszłości niezwykle mocno podkreślany. Z perspektywy kremłowskiej propagandy historycznej Polska jest jedynie „podnóżkiem Zachodu”, mało oryginalnym elementem europejskiej cywilizacji, podczas gdy Rosja jest suwerenną, także pod względem kulturowym, potęgą.

JARZMO CZY ZALEŻNOŚĆ

Rusi, podobnie jak Polski, dotyka choroba polityczna rozbitcia feudalnego. Jak zwykle w podobnych przypadkach podzielone państwo nie jest w stanie skutecznie bronić się przed agresją z zewnątrz. W latach 1237–1241 Ruś zostaje zalana przez nawałę tatarsko-mongolską. Rozpoczyna się ponad dwuwiekowy okres niewoli (co ciekawe, dziś, z uwagi na zwrot Moskwy w kierunku ideologii eurazjatyizmu, Tatarzy oceniani są stosunkowo pozytywnie – mówi się o „zależności”, a nie o „jarzmie”). Nie dla wszystkich jednak ziem ruskich. Tatarzy doszli aż pod Legnicę. Nie podporządkowali sobie jednak zachodnich krańców dawnej Rusi Kijowskiej. Przed mongolskim jarzmem uchroniło się księstwo halicko-wołyńskie, czyli współczesna Ukraina Zachodnia. Symboliczny dla dalszych losów tych terenów jest fakt, że książę Danił, który próbował namówić Zachód do antytatarskiej krucjaty, jako jedyny władca w historii Rusi otrzymał od papieża koronę królewską.

Podczas gdy w XIV w. późniejsza Ukraina Zachodnia znalazła się w rękach polskich, na ziemiach, które dziś należą do Białorusi, powstało jedno z największych państw ówczesnej Europy – Wielkie Księstwo Litewskie. Nazwa jest myląca. Etniczni Litwini, jako pogaanie, stali wówczas na niskim poziomie

cywilizacyjnym – dość napisać, że język litewski pojawił się na piśmie dopiero w XVI w. Co innego Ruś – chrześcijańska, a więc piśmienna już od X w. Państwo to powstało z połączenia litewskiej wojowniczości i ruskiej kultury. Tymczasem na wschodzie mongolskie jarzmo zrzucili książęta moskiewscy, na gruzach azjatyckiego imperium budując swoje własne. Dzisiaj Litwa ma w Rosji równie złą prasę co Polska – małe państewko na granicy pomiędzy Wschodem a Zachodem, aspirujące do roli „psa łańcuchowego”, na komendę Zachodu kąsającego Wschód. Ten stereotyp jest szczególnie często powielany dziś, gdy Wilno ramię w ramię z Warszawą wspiera anty-Łukaszewską opozycję. Rosyjska polityka historyczna kreuje wizję, w myśl której właśnie odbudowuje się dawna Rzeczpospolita, w której (Biało)Rusini będą uciskani przez złych Polaków i złych Litwinów.



„Bolesław Chrobry ze Świętopelkiem przy Złotej Bramie w Kijowie”, obraz Jana Matejki z 1884 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Od samego początku, czyli od drugiej połowy XV w., władcom Moskwy przyświecały dwie wielkie idee, które w nieunikniony sposób musiały prowadzić do konfrontacji z Zachodem, czyli z Litwą, a następnie z Polską. Po pierwsze, koncepcja „zbierania ziem ruskich”. Z tej perspektywy Moskwa była prawowitym następcą i dziedzicem dawnego Kijowa.

Drugą ideą była teoria „trzech Rzymów”, wysunięta przez pskowskiego mnicha Filoteusza. Pierwszy Rzym, starożytny, upadł w 476 r. Drugi – Bizancjum, jedyny prawowity „Rzym chrześci-

jański” – upadł w 1453 r., podbity przez islamskich Turków. Zdobycie Konstantynopola interpretowano jako karę za grzech odstępowania od wiary prawosławnej. W 1439 r. Bizancjum zgodziło się bowiem na unię florencką, zdradziecko uznając zwierzchność papieża. Cyrograf, podpisany z „łacinnikami”, nie pomógł heretykom. Pozostaje trzeci Rzym – Moskwa, która zresztą, jako jedyne prawosławne państwo, „zdrady florenckiej” nie uznała. Dlatego też, rosnąc w siłę polityczną, Ruś Moskiewska zyskała dodatkową sankcję moralną, ideologiczną, duchową – obrońcy prawosławia.

W XVI w., im bliższy staje się związek Polski z Litwą, tym bardziej realne staje się zagrożenie ze strony Moskwy. Pierwsze bezpośrednie starcie to wojny z Iwanem Groźnym o Inflanty. Pierwszy, uznany oficjalnie przez – pisząc językiem współczesnym – społeczność międzynarodową car Wszechrusi próbował nawet zostać polskim królem podczas pierwszej wolnej elekcji. Dwa wieki mongolskiego jarzma sprawiły, że Moskwa, oderwana od cywilizacji zarówno łacińskiej, jak i bizantyjskiej, uformowała się jako wyizolowana, kulturowa, „oblężona twierdza”, odporna na wpływy z zewnątrz. Do dziś zresztą pokutuje ten autostereotyp. Rosja jest wręcz dumna ze swojej odrębności od Zachodu – polityka historyczna Kremla akcentuje te wątki z przeszłości, które pasują do izolacjonistycznej mentalności. Rosja szczyli się swoim wyjątkowym położeniem między Europą a Azją. Także tradycyjne zamiłowanie do rządów silnej ręki zazwyczaj tłumaczone jest doświadczeniem mongolskiej niewoli. Jak jednak zauważa wybitny mediewista Igor Danilewski, tak naprawdę despotyczne ciągoty cechowały książąt włodzimierskich (i ich potomków moskiewskich) jeszcze przed przybyciem Tatarów. Zwierzchność chana sprawiała jedynie, że ponad władzą miejscowego, ruskiego despoty stał jeszcze jeden despota – tyle że tatarski.

Moskwa nie przeżyła sekularyzacji, renesansu ani reformacji, a średniowiecze trwało tam właściwie aż do końca XVII w. Jednak, nieśmiało jeszcze i głównie militarne, kontakty nawiązane za pierwszego cara z państwem polsko-litewskim sprawiły, że pewne elementy kultury Zachodu zaczęły na Ruś Moskiewską przenikać. Dlatego też obradujący w połowie XVI w. tzw. sobór stogławy poczuł się w obowiązku zaka-



Branka Polaków do armii rosyjskiej w 1863 r. Obraz Aleksandra Sochaczewskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

zać niecznych, cudzoziemskich praktyk, takich jak golenie bród.

OKUPACJA KREMLA

Prawdziwa ekspansja polskości zaczęła się w XVII w. To stulecie dla wzajemnych relacji przełomowe – apogeum przewagi „Lacha” nad „Rossem”. Przewagi najpierw politycznej, następnie zaś kulturowej. Szczycimy się, że Polacy jako jedyni w historii zdobyli i utrzymali na dłużej Moskwę. Rosjanie z kolei wspominają, jak niebezpieczna dla ich państwowości była interwencja polska w czasach wielkiej smuty. Okupacja Kremla postrzegana jest jako jedna z pierwszych agresji Zachodu na Rosję.

„Polski naród usługi mi okazał, Rosja zaś niegodna jest mojej łaski, skoro papieskiej wielmożności nie chce się poddać [...]. Rosyjskim narodem gardzę ze swego tronu, i władzę tyrańską rozciągam nad nim niewolą [...]. Panując tutaj, tym się rozweselałem, że Rossom zsyłkę, kaźń i śmierć przynoszę” – ten demoniczny monolog wygłasza Dymitr Samozwaniec ze sceny jako tytułowy, negatywny bohater sztuki wybitnego XVIII-wiecznego pisarza rosyjskiego, Aleksandra Sumarokowa.

Uzurpator ciągnie swoich Bogu ducha winnych rodaków pod „jarzmo papieństwa”. W bogatej twórczości literackiej, opiewającej temat wielkiej smuty, bardzo wyraźny jest nie tylko patriotyczny kontekst obrony przed agresją, lecz także religijny kontekst obrony przed katolicyzacją. To właśnie w tym okresie Polska

staje się w rosyjskiej świadomości już nie tylko rywalem geopolitycznym, lecz także wrogiem duchowym, który chce odebrać ziemię i zniewolić dusze.

Ostatecznie Polaków z Kremla przegoniło pospolite ruszenie, zebrane wspólnymi siłami kupca Minina i księcia Pożarskiego, których pomnik po dziś dzień stoi na pl. Czerwonym – pamięć o ludowym, oddolnym buncie przeciwko zachodniemu najeźdźcy stała się ważnym składnikiem rosyjskiej, a później nawet sowieckiej, tożsamości narodowej. Najważniejszym hasłem, pod jakim „lud rosyjski” rzucił się do walki, było hasło obrony wiary prawosławnej. Ciekawym przykładem, jakie miejsce zajmują wielka smuta i polska okupacja Kremla w rosyjskiej pamięci historycznej, jest film Władimira Chotininienki „Rok 1612”, nakręcony w 2007 r. Polacy są w nim przedstawieni jako krwiożerczy najeźdźcy, pozbawieni jakichkolwiek pozytywnych cech. Przypominają wręcz esesmanów z PRL-owskich filmów historycznych.

Wiek XVII to też jednak wiek „mody na polsność” na carskim dworze. Gdy minęły czasy smuty, a na tronie umocniła się nowa dynastia Romanowów, Moskwa przeszła do ofensywy na Zachodzie. Zbuntowani Kozacy Bohdana Chmielnickiego, po wielu latach wojny z Polską, ostatecznie uznali zwierzchność cara Aleksego Michajłowicza. Tutaj też rozstrzygająca była kwestia wspólnoty nie tyle etnicznej, ile religijnej – Moskwa dawała gwarancję obrony prawosławia

przed propagandą „łacinników”. Ówczesna Ukraina była już jednak kulturowo mocno spolonizowana, co dla Rosji stanowiło ogromne wyzwanie.

Elity moskiewskie doskonale zdawały sobie sprawę z wyższości cywilizacyjnej zachodniego sąsiada. Niezależnie od lęku przed wpływem „papiestwa” XVII-wieczna Rosja zachłysnęła się polską kulturą, za której pośrednictwem mogła poznać też kulturę dalszego Zachodu, bo to właśnie głównie w polskim przekładzie docierały na moskiewską Ruś dzieła literatury europejskiej. Moskwa nadrabiała cywilizacyjne zaległości, poprzez spolonizowaną Ukrainę poznając zachodnie osiągnięcia renesansu i baroku. Biskup czernihowski, Łazar Baranowicz, dwa swoje dzieła wydane po polsku zadedykował synom cara Aleksego.

To właśnie w tym czasie, na podstawie polskich wzorców, pod piórem funkcjonującego w styku polskiej i rosyjskiej kultury mnicha Symeona z Połocka narodziła się nowoczesna poezja rosyjska. W przedmowie wydania swojej wersji „Psałterza Dawidowego” wprost przyznał, że właściwie to kopiował polski wariant „Psałterza”. Moskiewskie elity dobrze znały język zachodniego wroga. Pierwsza moskiewska uczelnia, Akademia Słowiańsko-Grecko-Łacińska, powstała na wzór zachodni. Nauczano w niej języka polskiego na równi z łaciną i greką, co o tyle znamienne, że uczelnia ta miała stać na straży tradycji prawosławnej, przeciwstawiając się penetracji „łacinników”. Wrogość do katolicyzmu

łączyła się więc z przywiązaniem do polskiej, wyższej kultury. O tym jednak można się dowiedzieć głównie z polskich podręczników (także tych wydawanych w głębokim PRL). Rosyjska narracja na temat wzajemnych stosunków raczej pomija te ich momenty, w których to Polska była na wyższym niż Rosja poziomie cywilizacji.

Wszystko zmieniło się, gdy tron objął Piotr Wielki. Mając obsesję na punkcie europeizacji Rosji, szukał wzorców zachodniej cywilizacji dalej – w Niemczech, Holandii. Jego następczynie już otworzyły szeroko drzwi modzie na to, co francuskie. W XVIII w. Polska stała się w świadomości Rosjan „czarną dziurą zacofania”, katolicyzmu, niepoddającego się oświeceniowej sekularyzacji, rozsądnikiem wirusa patriotyzmu. Rosja, przyjmując zachodnią nazwę „Imperium”, zgodnie z zachodnimi tendencjami szermowała hasłem zanosenia kaganika oświaty niższym cywilizacyjnie ludom, za którego pomocą trudno jednak było uzasadnić podbój Polski, choć próby takie były – w końcu stłumienie konfederacji barskiej tłumaczono właśnie koniecznością „obrony tolerancji religijnej” wobec rzekomo uciśnionych prawosławnych.

POLSKA JAK GRECJA

„Przywróciłam to, co odebrane” – ostatecznie tak Katarzyna Wielka uzasadniła rozbiory Polski. Zajęcie ziem wschodnich miało być końcowym etapem „zbierania ziem ruskich”. Ta narracja nie zmieniła się do dziś. Rozbiory Polski wciąż są traktowane jako sprawiedliwość dziejowa, dzięki której prawosławni bracia Rusini mogli powrócić na ojczyznę łono.

W efekcie wojen napoleońskich zabór poszerzył się o centralną Polskę. Królestwo Polskie było wyrazem zrozumienia Petersburga dla odrębności zachodniego wroga. Rosjanie już wówczas wiedzieli, że jeśli chcą (a chcą!) panować nad Wisłą, to muszą pozostawić Polakom jakąś iluzję samodzielności. Wielu zresztą polskich działaczy zaczęło współpracę z zaborcą, licząc na to, że wciąż stojąca cywilizacyjnie wyżej Polska stanie się dla imperium tym, czym była Grecja dla Rzymu – niesamodzielna, ale kwitnąca enklawą kulturową.

Ostatecznie jednak ten eksperyment się nie powiódł. Jak zauważa prof. Andrzej Nowak, w rosyjskich elitach zwyciężyła antypolska pozycja Nikołaja Karamzina,

pisarza i historyka, który uważał całkowity upadek Polski za przesądzony, nieodwracalny i korzystny dla Rosji. „Buntowniczy i nieszczęśliwi” Polacy, utraciwszy swe imię, znaleźli pokój pod władzą sprzymierzonych mocarstw. Zbuntowali się jednak jeszcze nieraz, nie znajdując zrozumienia nie tylko wśród elity przywódczej (co zrozumieli) czy prawosławnych konserwatystów (którzy, tak jak Dostojewski, uważali katolicyzm i jego polską forpocztę za wielkie zagrożenie dla rosyjskiego ducha), lecz także wśród liberalnej czy socjalistycznej (rosnących w siłę rewolucyjnych demokratów) opozycji.

Dla tych ostatnich Polacy byli pożyteczni jedynie do walki z caratem, do walki klasowej. Wyrzicielem poglądów, dominujących wśród liberałów, był, uważany za najwybitniejszego rosyjskiego poetę w dziejach, Aleksander Puszkina. Historycy literatury, przedstawiając jego dorobek, zazwyczaj mało uwagi poświęcają „antypolskiej trylogii”, opiewającej zwycięstwo caratu

nad powstańcami listopadowymi. „Przybywaj! Zwiąż Cię, święta Ruś! Przybywaj, tłumie obcych gości!... Lecz Polska nie powiedzie was: musicie przejść dziś przez jej kości” – pisał wieszcz w wierszu „Rocznica Borodina”, z radością stwierdzając, że „zmiażdżony bunt przycichł”, a Suworow, kat Pragi (o rzezi jej mieszkańców Puszkina nie wspomina), może być dumny ze swoich następców.

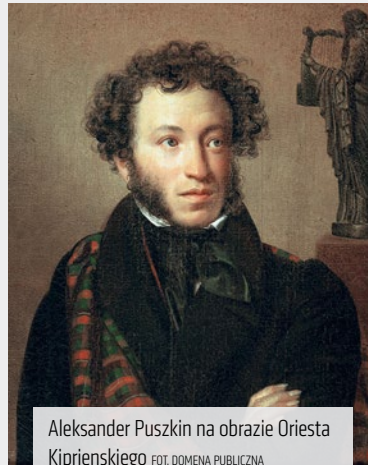
PUSZKIN; ROSJA MUSI BYĆ IMPERIUM

Z kolei w wierszu „Oszczercom Rosji” poeta atakuje zachodnią opinię publiczną za to, że stanęła ona po stronie powstańców, mieszając się tym samym w wewnętrzne sprawy Petersburga: „To Słowian spór, rodzinny spór domowy [...] przesądził dawno los tę starą waśń”. „Sporem domowym”, choć niekoniecznie powołując się wprost na Puszkina, Kreml tłumaczy dziś logikę procesów na obszarze postsowieckim. Dziś „oszczercami Rosji” są zachodni politycy, krytykujący Rosję za działania na Ukrainie czy za próbę podporządkowania Białorusi.

Punkt widzenia Puszkina jest jasny: Polska i Rosja od wieków toczą ze sobą wojny – raz wygrał „dufny Lach”, innym razem „wierny Ross”. Już samo to przeciwstawienie wiele mówi – Polak od niemal zawsze kojarzy się z dumą, honorem, butą i arogancją, które są zbyt wybujałe jak na prawdziwe jego możliwości, Rosjanie zaś sami siebie widzą jako wiernych synów prawdziwej wiary, której bronią przed zachodnim zepsuciem. Tak czy inaczej ten spór ostatecznie został rozstrzygnięty na korzyść „wiernego Rossa”. Puszkina stawia też alternatywę – albo „się słowiańskie rzeki w rosyjskie wleją morze”, albo ono „wyschnie”. Rosja musi więc być imperium, żeby istnieć. Wciąż jest to żywe przekonanie na Kremlu, tyle tylko, że „słowiańskie rzeki” zostały zastąpione „wschodniosłowiańskimi rzekami” – Rosja potrzebuje Ukrainy i Białorusi, by być imperium, Polski już niekoniecznie. Polska to rywal, nie potencjalna strefa wpływów.

Temat rosyjskiego morza, zasilanego

słowiańskimi rzekami, był szczególnie aktualny w wieku XIX, gdy w elitach imperium toczył się spór pomiędzy prozachodnimi liberałami a konserwatywami – dominowali ci ostatni, używając słowiańskiej jedności jako argumentu jeszcze zręczniejszego niż zbieranie ziem ruskich. W ten sposób można było uzasadnić również podbój innych niż ruskie słowiańskich ziem. Polacy jednak tej perspektywy przyjąć nie chcieli. Podczas Kongresu Panslawistycznego w 1867 r. inny wybitny poeta rosyjski, Fiodor Tiutczew, orientacji o wiele bardziej konserwatywnej niż Puszkina, wygłosił słynny wiersz „Do Słowian”, którego wymowa ideowa dobrze oddawała stosunek do „kwestii polskiej”, dominujący aż do upadku caratu. Polskę nazwał w nim „Judaszem Słowiańszczyzny”. W tej sprawie niewiele się zmieniło. Wciąż pokutuje w rosyjskiej świadomości żal do Polaków za to, że zdradzili Moskwę, że sprzedali się Zachodowi. A raczej nie tyle żal, ile niezadowolone, że Polacy nie czują już tej „jedności plemiennej” z Rusią co tysiąc lat temu.



Aleksander Puszkina na obrazie Oriesta Kiprienskiego. FOT. DOMENA PUBLICZNA



Maciej Pieczyński

Oblężona twierdza, która od wieków broni się przed agresją Zachodu. A jednocześnie pogromca Hitlera, co samo w sobie zasługuje na aureolę świętości. Tak wygląda przeszłość Rosji z perspektywy kremlowskiej polityki historycznej

Sakralna metaforyka jest tu w pełni uzasadniona. Rosja, odizolowana od świata zachodniego, nie przeszła szkoły renesansu, sekularyzacji, humanizmu, a racjonalizm dotarł tam w powierzchownej, zinstrumentalizowanej formie w dobie oświeceniowego otwarcia na Europę Zachodnią i nigdy się zbyt głęboko nie zakorzenił. Nawet sowiecki komunizm, szczególnie w epoce Stalina, przypominał religię, ze swoim kultem jednostki wodza, nieprzypadkowo nazywanego „czerwonym carem” – prawosławny Bóg został tylko zastąpiony bożkiem komunizmu.

Pamięć historyczna Rosjan, szczególnie ta oficjalnie krzewiona przez władze, nie jest przedmiotem analizy ani rozliczeń, lecz kultu właśnie. Tyle że jest to bardzo synkretyczna religia. Wśród „świętych” rosyjskiej historii, obok czerwonoarmistów zdobywających Berlin, a także coraz śmieiej stawianego na (na razie) mentalnym cokole Stalina jest zamordowany przez komunistów car Mikołaj II, są przywódcy ludowego buntu przeciw Polakom na Kremlu Minin i Pożarski, pogromcy Napoleona, Szwedów, Niemców... Wrogów Rosji, prawdziwych i wymagowanych, łączy jedno – są przedstawicielami Zachodu, albo katolickiego, albo protestanckiego, albo laickiego. Ale Zachodu nieprawosławnego.

Nieprzypadkowo jedna z najpopularniejszych pieśni Chóru Aleksandrowa, napisanych ku pokrzepieniu serc czerwonoarmistów jadących na front walki z hitlerowskimi Niemcami, nosi tytuł „Święta wojna”. Wśród określony jest jako „faszystowska ciemna siła”, co też wywołuje religijne skojarzenia. Wielka wojna ojczyzniana to oczywiście najważniejszy temat rosyjskiej polityki historycznej, ale też najgłębiej i najbardziej autentycznie



Parada wojskowa na pl. Czerwonym w 70. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej. FOT. KREMLIN.RU

przeżywane wydarzenie w świadomości zwykłych Rosjan. Uogólniając, można powiedzieć, że dziadkowie połowy z nich byli ofiarami sowieckiego terroru. Jednak już druga połowa może się poszczycić dziadkiem, który pod czerwonym sztandarem zdobywał Berlin, zasługując na miano bohatera walk z faszyzmem. Często był to nawet ten sam dziadek...

Władimir Sołowjow, kremlowski propagandysta, gwiazda państwowej telewizji, spierając się na antenie z ukraińskim dziennikarzem o sowiecką przeszłość, zapewnił, że jest dumny ze swojego dziadka, który zginął w 1943 r., walcząc w szeregach batalionu karnego, a za swoje bohaterstwo został uniewinniony... „I za to mam nienawidzić władzę sowiecką?!” – pytał retorycznie Sołowjow. Jego stosunek do ZSRS jest dość reprezentatywny dla proputinowskiej większości rosyjskiego społeczeństwa. Pogląd ten można streścić następują-

co: stalinowskie represje nie są żadną tajemnicą, są godne potępienia, ale to nie zmienia faktu, że to właśnie państwo Stalina pokonało największe zło w historii świata, czyli reżim Hitlera. O jakimkolwiek moralnym zrównaniu tych dwóch dyktatorów nie może być mowy. I to nie tylko z uwagi na państwową propagandę, pielęgnującą pamięć o 9 maja. Taka symetria win automatycznie obniżyłaby wartość krwi przelanej przez wspomnianych już dziadków, których wnukowie wolą pamiętać udział w koalicji antyhitlerowskiej niż sowiecki terror...

„NIEŚMIERTELNY PUŁK”

Jedną z najbardziej oryginalnych form świętowania Dnia Zwycięstwa powstała na gruncie oddolnej inicjatywy. W 2011 r. trzech lokalni dziennikarze z prowincjonalnego Tomska postanowili zorganizować 9 maja marsz, którego uczestnicy nieśliby w milczeniu portrety swoich krewnych,



Kremla

walczących w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Dziś „nieśmiertelny pułk” stał się akcją ogólnokrajową, mocno popieraną przez władzę. Ulicami Moskwy z portretem dziadka maszeruje sam Putin. „Naród sowiecki położył kres koszmarowi Holokaustu, ocalił świat przed faszyzmem. Nie możemy sobie nawet wyobrazić, co by się stało ze światem, gdyby nie Armia Czerwona” – tymi słowami Putin przemawiał podczas tegorocznych uroczystości rocznicowych, z powodu pandemii wyjątkowo zorganizowanych nie 9 maja, ale pod koniec czerwca.

Rosyjski prezydent stwierdził, że „żołnierzom sowieckim nie była potrzebna ani wojna, ani inne kraje, ani sława, ani zaszczyty. Oni chcieli dobić wroga, odnieść zwycięstwo i wrócić do domu. I zapłacili za wolność Europy ogromną cenę”. Oczywiście w oficjalnej retoryce Kremla nie ma miejsca na uznanie faktu, że „wolność od faszyzmu” przyniosła połowie Europy ko-

munistyczną niewolę. Pod tym względem oficjalna retoryka Kremla niewiele się różni od sowieckiej propagandy.

Jest jednak wciąż granica, której władza nie przekroczyła – w panteonie oficjalnie popieranych przez Kreml bohaterów narodowych nadal nie ma Stalina. Jest jednak w podtekście. I pośrednio, na sztandarach akolitów Kremla. „Stalin jest idolem historii Rosji, niedoścignionym wodzem. Dał nam wspaniałe państwo, wyciągnął cywilizację rosyjską z przepaści, do której stoczyła się po upadku Romanowów” – to opinia Aleksandra Załdostanowa „Chirurga”, lidera motocyklowej grupy Nocne Wilki, osobistego przyjaciela Putina. Nocne Wilki to typowa dla postsowieckiej Rosji czerwono-brunatna mieszanka szowinizmu, imperializmu i uwielbienia dla czynu zbrojnego Armii Czerwonej. Dla ludzi o tego typu zestawie poglądów represje stalinowskie są kwestią drugorzędną. Nawet oni jednak

generalnie nie kwestionują okrucieństw „czerwonego cara”.

Bardzo wyrazisty obraz zmian w oddolnej, społecznej pamięci historycznej Rosjan dają wyniki badań socjologicznych, prowadzonych przez niezależne Centrum Lewady. Szczególnie te przeprowadzone w 2016 r., a więc dwa lata po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie. 76 proc. respondentów uznało wówczas, że Rosjanie powinni być dumni ze swoich imperialnych zdobyczy, a konkretnie – z ziem podbijanych od XV w., włączając w to także Polskę i Finlandię. Tylko 3 proc. uznało, że podboje to powód do wstydu. Te same 3 proc. wstydziło się sowieckiej przeszłości oraz aneksji Krymu. Okres stalinowski przyniósł Rosji więcej dobrego niż złego – z tą tezę zgodziło się aż 40 proc. pytanym. Dla porównania trzy lata po rozpadzie ZSRS, kiedy wciąż jeszcze żywy był patos rozliczeń z poprzednim systemem, podobne przekonanie wyraziło jedynie 18 proc. Dwa lata przed wybuchem wojny na Ukrainie odsetek ten wynosił 27 proc. Jeszcze wyżej oceniany jest sam Stalin – w 2016 r. aż 56 proc. pytanym określiło go mianem postaci, która odegrała pozytywną rolę w historii. W kolejnych badaniach średnio jedna czwarta respondentów skłonna jest usprawiedliwiać stalinowskie represje polityczną koniecznością. O wiele gorzej postrzegani są liderzy, kojarzeni z demokracją i liberalizacją – Michaił Gorbaczow i Borys Jelcyn. Oskarżani są o doprowadzenie do upadku Związku Sowieckiego.

Sentyment do ZSRS wcale jednak nie oznacza tęsknoty za komunizmem. Rosjanie najzwyczajniej chcą być znów imperium. Nieważne – białym czy czerwonym. Celem jest odbudowa potęgi w polityce zagranicznej. Do tego zaś potrzebne są pozytywne wzorce w pamięci narodowej, mity, do których można się odwoływać. „Zwycięstwo nad faszyzmem” idealnie się do tego nadaje, jako największy w dziejach sukces rosyjskiego oręża. Kult tego wydarzenia absolutnie nie stoi jednak w sprzeczności z kultem imperium carów.

AŻ PO BUG

Całe dzieje Rosji, od XV-wiecznych początków Wielkiego Księstwa Moskiewskiego do prezydentury Putina, to jedno wielkie pasmo podbojów, uzasadnianych a to ochroną prawosławia („Moskwa – Trzeci Rzym”), a to ideą zbierania



Chrzest kijowian. Obraz Kławdija Lebediewa FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ ziem ruskich. Tyle że współczesna polityka historyczna Kremla, czerpiąca z bogatych wzorców propagandowych, wypracowywanych na przestrzeni wieków przez kolejnych władców, nie zna pojęcia „podboju”. Rosja zawsze odbierała sąsiadom tylko to, co jej się „uczciwie należało”. Na zachodzie „należne” Rosji ziemie niezmiennie sięgają rzeki Bug, obejmują bowiem cały obszar historycznie zajmowany przez narody wschodniej Słowiańszczyzny.

Białorusini i Ukraińcy niezmiennie traktowani są jako część jednego wielkiego narodu rosyjskiego. Mają prawo do lokalnej specyfiki kulturowej, ale już niekoniecznie do własnego języka, a już na pewno nie do niezależności geopolitycznej. Za każdym razem, gdy Polska próbuje czy to Ukrainę, czy to Białoruś wciągnąć w orbitę wpływów Zachodu, rosyjskie media starają się przekonać swoich „młodszych braci”, że Warszawa chce ich ponownie skolonizować. Ponownie, bo z perspektywy Moskwy Rzeczpospolita była kolonialnym państwem imperialnym, takim samym jak Rosja. Oba mocarstwa walczyły ze sobą o – używając modnego dziś określenia – „pomost bałtycko-czarnomorski”, aż w pewnym momencie zwyciężyło jedno z nich, i tak już zostało. O wszystkim rozstrzygnęła siła. Rosja, przypisując Polsce ciągoty imperialne i chęć odbicia Lwowa, Brześcia czy Grodna, nie tylko stara się skłócić Warszawę z sąsiadami, lecz także w sposób naturalny mierzy geopolitycznego rywala swoją miarą, tak jakby we wzajemnych relacjach tych

dwóch państw nic się nie zmieniło od XVII w. Symptomatyczne, że wspomniany już gwiazdor państwowej telewizji, Władimir Sołowjow, nazwał Swiatłanę Cichanouską nowym Dymitrem Samozwańcem, wynajętym przez Polaków, by zdobyć dla nich Mińsk. A następnie, jak się uda, także Moskwę.

Rosja potrzebuje Ukrainy, aby być imperium. A przynajmniej nie może pozwolić, by Ukraina przeszła na stronę Zachodu. Oprócz oczywistych powodów natury geostrategicznej i ekonomicznej są również powody natury historycznej, ideologicznej i symbolicznej. Nieprzypadkowo w 2015 r. w Moskwie stanął pomnik Włodzimierza Wielkiego, księcia kijowskiego, który przyjął w 988 r. chrzest. Dziedzictwo Rusi Kijowskiej jest wspólne dla wszystkich trzech narodów wschodniosłowiańskich. Kijów to „macierz grodów ruskich”. Od kiedy został zastąpiony w roli symbolicznej stolicy Słowian wschodnich przez Moskwę, jej przywódcy próbują go odzyskać. To perła w koronie „ziem ruskich”, które Rosja od wieków „zbiera”.

Gdy w 2014 r. była przez chwilę nadzieja na podbój zrusefikowanych ziem południowo-wschodniej Ukrainy, Kreml ożywił na nowo koncepcję Noworosji – tak bowiem były określane te tereny, gdy w XVIII w. zajęła je Katarzyna Wielka. Z ambitnych planów nic nie wyszło.

Została jedynie wstążka św. Jerzego – order z czasów Katarzyny, którego barwy stały się symbolem prorosyjskiego separatyzmu.

Rosjanie od początku argumentowali, że Krym ukraiński nigdy nie był, a kiedy już się stał, to z łaski Nikity Chruszczowa. Półwysep jako mityczna Tauryda, wielki kurort i ważny punkt strategiczny w jednym jest bardzo mocno wpisany w rosyjską pamięć. Chruszczow podarował Krym Ukrainie z okazji 400-setnej rocznicy ugody perejaśławskiej. To też niezwykle istotny temat rosyjskiej pamięci historycznej. Podobnie jak w czasach sowieckich także dziś uznanie przez Chmielnickiego zwierzchności cara Wszechrusi przedstawiane jest jako dowód braterstwa obu narodów (z oczywistym starszeństwem jednego z nich).

Rosja próbuje być imperium, utrzymując stan posiadania w regionie. Gdyby jednak uwierzyć medialnej propagandzie Kremla, wiecznie ktoś jej zagraża. To, co Moskwa zdobyła, uczciwie jej się należy. Rosyjskojęzycznych mieszkańców Donbasu i Krymu broni ona na tej samej zasadzie, na jakiej we wrześniu 1939 r.

wyzwoliła Białorusinów i Ukraińców spod władzy polskich panów i uchroniła przed przyjściem faszystów... Mińsk w walce z opozycją wspiera, by uchronić prawosławnych braci przed imperialnymi zakusami Polaków i Litwinów, którym najpewniej marzy się nowa unia lubelska, a i zapewne unia brzeska.



Sowiecki znaczek z 1946 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

WRÓG Z ZACHODU

Moskwa jest więc tak naprawdę „obłężoną twierdzą”, która nie atakuje, lecz się broni. Przed czym? Cała historia Rosji to pasmo heroicznych walk z ekspansją szeroko rozumianego Zachodu. Wszystko zaczęło się od ekspansji katolików i Polaków, którzy nie tylko chcieli podbić Moskwę, lecz także ją duchowo zniewolić, podporządkowując papieżowi, pozbawić prawosławnego charakteru. Chociaż święto, ustanowione na pamiętkę przepędzenia Polaków z Kremla, nie zyskało większej popularności i wbrew intencjom nie przyćmiło przypadającej w podobnym czasie rocznicy rewolucji październikowej, pozostaje ono specyficznym świętem, łączącym Rosjan o różnych poglądach – od liberalnych do szowinistycznych – pod sztandarem

pamięci o oddolnej, obywatelskiej wręcz inicjatywie, jaką było powstanie ludowe przeciw okupantom.

Dokładnie dwa stulecia później znów przyszła wielka agresja z Zachodu – tym razem Napoleon. Znów obcy najazd wywołał poruszenie patriotyczne, a do walki stanął mityczny „lud rosyjski”, z patosem przedstawiony jako podmiot historii w Tołstojowskiej „Wojnie i pokoju”. To była pierwsza wielka wojna ojczyzniana – nie na darmo właśnie do niej nawiązano podczas drugiej wojny światowej. Nie ma to znaczenia, że Napoleon napadł na imperialną, carską Rosję, a Hitler na komunistyczny Związek Sowiecki. W obu przypadkach niewinna, pokojowo nastawiona Rosja musiała bronić się przed najazdem zachodniego agresora, do walki z którym ochoczo stanął lud.

Pomiędzy dwiema wojnami ojczyznianymi był jeszcze „pochód Ententy”, jak nazwał Stalin agresję Piłsudskiego na Rosję Sowiecką. Tak, agresję – do dziś rosyjscy publicyści i historycy przypisują Polsce właśnie winę za rozpętanie wojny 1920 r. Z ich perspektywy to Piłsudski pierwszy rzucił kamieniem, urządzając wyprawę na „macierz grodów ruskich”. A 20 lat później Polacy dostali za swoje – Stalin w Katyniu „pomścił” jeńców sowieckich, którzy według kremlowskiej propagandy zostali celowo doprowadzeni do śmierci w „obozach koncentracyjnych”. Ta rosyjska akcja propagandowa określana bywa często „Anty-Katyniem”. Wiele o niezmiennych zasadach bezwzględnej w swej istocie rosyjskiej polityki historycznej mówi to, że kłamstwo o polskim ludobójstwie na czerwoarmistach polecił wykreować „liberalny demokrat” Gorbaczow, chcąc w ten sposób zmniejszyć efekt przyznania się do zbrodni katyńskiej. Pomimo oficjalnych przeprosin, pomimo że zbrodnie komunistyczne jako takie nie są w Rosji tematem tabu, polskie ofiary wciąż są tam umniejszane. W 2011 r. w sondażu dla Lewady aż 24 proc. Rosjan przypisało winę za Katyń Niemcom – to wiele mówi o skuteczności sowieckiej jeszcze propagandy. Z kolei sojusz z Hitlerem traktowany jest jako taktyczna konieczność – wobec wrogoci Zachodu „obłożona czerwoną twierdzą” musiała jakoś zabezpieczyć swoje interesy...

Wart uwagi jest jeszcze jeden wątek wielowiekowej „obrony” Moskwy przed Zachodem. Rosyjska telewizja państwowa zrealizowała jakiś czas temu film



Władimir Putin składa wieniec przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Moskwie, 2017 r.

FOT. KREMLIN.RU

dokumentalny o Aleksandrze Newskim. Prawosławny święty, wielki książę włodzimierski, zasłynął zwycięskimi walkami ze Szwedami i z Niemcami. Nic dziwnego, że stał się bohaterem sowieckiej popkultury czasów stalinizmu, kiedy to był poręcznym narzędziem w propagandowej walce z Hitlerem. Współczesna propaganda naświetla jednak jego żywot z jeszcze innej strony. Aleksander panował w początkach niewieli tatarsko-mongolskiej. Uznawał zwierzchność chana. W rosyjskim dokumencie jest za to wręcz chwalony. Był wybitnym mężem stanu – słusznie bił się z Zachodem i ulegał woli Wschodu. Dla Rusi – z dzisiejszej perspektywy – lepiej było bowiem ulec Tatarom niż Niemcom czy Szwedom. Niemcy i Szwedzi chcieli nawrócić prawosławnych Rusinów na katolicyzm i podporządkować ich papieżowi. Tatarzy natomiast byli okrutnikami, barbarzyńcami, ale – jako wyznawcy prymitywnych kultów szamańskich – praktykowali tolerancję religijną, nie zamierzali nawracać podbitych ludów. Używając zrozumiałej dla polskiego czytelnika analogii – Wschód chciał tylko zniewolić ciało, Zachód zaś – ciało i dusze Rusinów.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na zmianę terminologii w rosyjskiej historiografii. W podręcznikach sowieckich, a więc w czasach, gdy niezależnie od konfrontacji z Zachodem zakodowane w komunistycznym postrzeganiu świata chorobliwe dążenie do cywilizacyjnego postępu nakazywało wstydzić się azjatyckiej spuścizny, okres tatarski

określano jako „igo” („jarzmo”). Dzisiaj, gdy w rosyjskiej elicie władzy dominuje wizja eurazjatycka, a państwo coraz śmieiej zwraca się ku Wschodowi, specyficzna poprawność polityczna nakazuje raczej mówienie o „tatarsko-mongolskiej zależności”...

Nie byłoby tych wszystkich koncepcji i kodów pamięci, gdyby nie silna ręka przywódcy. Pozycja Putina nie tylko jest silna mocą jego konkretnych działań, takich jak aneksja Krymu, lecz także jest ugruntowywana poprzez nawiązanie do wielkich postaci z przeszłości. Nawet prezydent Rosji nie może wprost wychwalać pod niebiosa autokratycznych władców, którzy szczególnie w świadomości zachodniej opinii publicznej zapisali się jako wielcy zbrodniarze. Putina wyręczają w tym jego wyznawcy. Mówiąc to, co najpewniej Putin myśli, ale czego nie wypada mu powiedzieć na głos. Kilka lat temu w Orle stanął pomnik Iwana Groźnego. Z woli mieszkańców jakoby. Gubernator obwodu orłowskiego, Wadim Potomski, tak uzasadniał tę inicjatywę: „W naszym kraju było trzech wielkich przywódców: Iwan Groźny, Piotr Pierwszy i Józef Stalin”. Ta „święta trójca” zajmuje poczesne miejsce w rosyjskiej pamięci. A jeśli ktoś z nich najmniej pasuje do Putinowskiej Rosji, to zapewne Piotr Pierwszy. Nie z powodu okrucieństwa, ale dlatego, że próbował – na siłę, po trupach, powierzchownie – otworzyć dla Rosji okno na Europę. Dziś to okno raczej się zamyka.